

Jestem kontrolerem ruchu. Ruchu wskazówek zegarka. Praca jak każda inna – można ją lubić lub nie. Mnie przynosi sporo satysfakcji i zero stresu. Pensja? Dżentelmeni nie rozmawiają o pieniądzach. Nie one są ważne, liczy się poczucie wolności.

Jestem na samozatrudnieniu. Pracuję na własny rachunek i na własną odpowiedzialność. Czas pracy reguluję sobie sam, ale nie ma mowy o taryfie ulgowej. Dziś – w wolną sobotę – wypadł mi dyżur.

Jest 10.30.

Zerkam przez okno. Całą noc padał deszcz, ranek niczego nie zmienił. Pisze ten sam scenariusz – pada, przestaje, znów pada. Za oknem szaro i mgliście, mokre liście zapomniały, że nie tak dawno tańczyły w miękkim jesiennym słońcu. Leżą zrezygnowane, przyklejone do chodnika jak do zapomnianego listu znaczki. Nie wzbudzają najmniejszego zainteresowania niewysokiego chudego mężczyzny walczącego z wiatrem i krnąbrnym parasolem. Pewnie nie jest filatelistą. Zmagań nie ułatwia mu duże kudłate psisko, ciągnie za smycz, najwyraźniej zamiast siku, chce do domu.

Miałem psa, więc tego za oknem dobrze rozumiem. Większość czworonogów nie lubi deszczu, tylko wodolazy laziłyby bez końca, taplały się w kałużach, ale kto by to wytrzymał? Zmoczona sierść niezbyt ładnie pachnie, tak naprawdę paskudnie śmierdzi, im większy pies, tym intensywniej. Nie da się wtedy myśleć o nim ciepło. Hot dog? Nie, nawet on w takich momentach nie pomoże.

To duży problem, szczególnie dla tych, którzy mają dużego psa i małe mieszkanie. Mnie on nigdy nie dotyczył, choć mieszkam w niewielkiej kawalerce. Żyłem i nadal żyję bezproblemowo.

Przez długie lata towarzyszyła mi Cherri, jamniczka-miniaturka, psi zapaszek był prawie nieuchwytny. Mylem jej brzuszek po każdym spacerze. Pięć razy dziennie, niezależnie od pogody. Nie znam człowieka, który tak dbałby o higienę.

Od pewnego czasu dzielę mieszkanie z kotem, jak w standardowym M-2 – na dwa. Jego połowa, zadając kłam matematycznej regule, jest zdecydowanie większa od mojej.

Alfred jest Środkowoeuropejczykiem i typowym salonowcem, nie wychodzi na dwór, nawet wtedy, gdy nie pada, a w domu przez większość czasu odpoczywa. W czasie wolnym się nudzi. Psiego zapachu w ogóle u nas nie uświadczy.

Stoję w oknie, prawie niewidoczny za szarą firanką, w szarym świetle szarego poranka. Jest już 10.44.

O tej porze roku to dopiero poranek, latem byłoby prawie południe. To ciekawe, jak się nad tym zastanowić. Nie zastanawiam się, za wcześnie. Nie uchylam firanki, nie lubię być widoczny jak na scenie. Nigdy nie ciągnęło mnie do aktorstwa.

10.50. W kilku oknach budynku teatru po drugiej stronie ulicy nagle jaśniej. Poranek jest mroczny, więc sprawne żarówki są, nie tylko przeze mnie, dobrze widziane.

Człowiek, jak roślina, potrzebuje światła do życia. Niektórzy nawet domagają się go więcej. Pierwszym, o którym słyszałem, był Johann Wolfgang Goethe. Nie był natrętny – zrobił to tylko raz, tuż przed śmiercią.

Drugim jest miejscowy tenor, Jan Maria Karusek. „Wszystkie światła na mnie” powtarza przed każdą próbą i przedstawieniem. Oświetleniowcy sceny są tym wykończeni nerwowo, a teatr finansowo.

Ja na brak światła nie narzekam, Alfred często chodzi do łazienki – raz siku, raz kupka. Nie lubi robić jednego na drugie, więc po każdym pobycie w kuwecie daje mi znaki, że trzeba po nim posprzątać, bo... nawet nie chcę myśleć, co by mi zrobił. Naciskam wtedy włącznik przy drzwiach, wchodzę do łazienki, brodzę w bezzapachowym piasku rozsypanym na podłodze. W ciepłym świetle jarzeniówki czuję się jak na plaży we Władysławowie. Jest nawet lepiej – nie zajeżdża rybą. Nie muszę wyjeżdżać na wczasy.

Pojawiają się pierwsi aktorzy, wielkimi krokami zbliża się kolejna premiera teatralna, teraz przez co najmniej dwa tygodnie będę widywał ich częściej.

Nigdy nie zasłaniają okien, lubię im się przyglądać, najwyraźniej ciągnie mnie do teatru. Do kina czasami też, ale teatr mam na wyciągnięcie ręki, więc ma nad kinem przewagę. Nie znoszę, kiedy ludzie na mnie patrzą, ale lubię przyglądać się innym. Rola widza bardzo mi odpowiada. Odsłaniam delikatnie firankę, cofam się w głąb pokoju i patrzę. Z podglądaniem nie ma to nic wspólnego.

Jest już 10.55.

Zdejmują marynarki, swetry, koszule, spodnie, podkoszulki, bokserki, stringi. Rozbierają się jak normalni ludzie. Nie zgrywają kogoś innego, żadnych teatralnych gestów. Zanim przebiorą się w kostiumy, przez krótką chwilę nie mają nic do ukrycia. Niektórym przyglądam się z zazdrością, mają niezłe sylwetki, dotykam bezwiednie własnego brzucha i boków, krytycznie oceniam krągłości.

Pozostali rozebrani to prawie moja liga. Biegnę do przedpokoju, zrzucam piżamę i spoglądam w lustro. Jeszcze nie jest ze mną tak źle jak z nimi. Ubieram się zadowolony.

11.03. Wracam na stanowisko obserwacyjne. Wbijam uparcie wzrok w niezasłonięte okna naprzeciwko, mój upór niczego jednak nie zmienia. Ani śladu kobiety.

Nie trafiła mi się do tej pory żadna z aktorek, muszą mieć garderoby w innej części budynku. Babki z działu księgowości (tak wyglądają na oko, a moje rzadko mnie myli) widuję tylko w dni robocze. Są zarobione po łokcie – piją herbatę, posilają się niespiesznie, w przerwach między posiłkami coś przegryzają. Nie wyglądają pociągająco. Może i dobrze, mogę spokojnie nakarmić Alfreda, który bezwzględnie się tego domaga.

11.10. Wpada mi w oko jakiś spóźniony gość, nie znam go, a mogę śmiało powiedzieć, że znam wszystkich aktorów, chórzystów i tancerzy. Musiał niedawno dostać angaż. Dwóch z baletu, którym dołożyli go do pokoju, patrzy na intruza niechętnie. Ćwiczyli już pełną parą temps sauté i pas assemblé, a ten tu nagle... takie faux-pas!

Są nerwy. Starszy z tancerzy daje temu wyraz – gwałtownie gestykuje, jego usta dopasowują tempo otwierania i zamykania do ruchu rąk. Do nowego dociera przekaz, rozbiera się pośpiesznie, przez chwilę staje nieruchomo. Starsi koledzy obcinają nagusa zaskoczonymi, a potem coraz bardziej zachłannymi spojrzeniami. Nie utrudnia im tego, wręcz ułatwia – wykręca powolny tour, łabędzie ręce płyną to tu, to tam, w końcu révérence i zbiera z podłogi ubranie.

Powietrze drży, choć patrzący wstrzymali oddech. Okno pokrywa delikatna mgiełka podniecenia. Facet

wygląda jak Miss Universe wchodząca do basenu w filmie *Młodość* Sorrentino. Ta sama aura, choć ciało mężczyzny. Przylapuję się na tym, że nie odwróciłem wzroku. To dziwne, ale nie dotknąłem jak zazwyczaj brzucha i boków. Zupełnie o tym zapomniałem, mając przed oczami żywy posąg Dawida.

Młodzieniec staje w oknie, patrzy w szarość, nie widzi mnie, moja spocona dłoń błądzi po rozporku piżamy. Niespodziewanie gra fujarka... może trąbka, w chwilę później dołączają do niej inne instrumenty. Nastrój pryska.

Zaczyna się próba orkiestry. Zasłaniam firankę. 11.21.

Kot miauczy zniecierpliwiony, nachalnie ociera się o moje nogi, trzeba będzie otworzyć puszkę.

Nie je kurczaka, ma po tym wysypkę. Ostatnia wyglądała paskudnie, musieliśmy wybrać się do weterynarza. Pozbyliśmy się jej dopiero po trzech tygodniach. Od tamtej pory kupuję wołowinę z warzywami, indyka w galarecie i delikatną cielęcinę. Objawy się nie powtórzyły.

Alfred je zdecydowanie za dużo. Oka się nie oszuka – ostatnio bardzo przytył, przy niskim wzroście nie wygląda to korzystnie. Dużo w tym mojej winy, ustępuję, gdy tylko zażąda jedzenia. Nie mam wyjścia, ten jego wzrok... Mimo, że mierzę prawie metr siedemdziesiąt, patrzy na mnie z wyższością.

Natrętne miauczenie staje się coraz głośniejsze, jednak nie ulegam. Pozostaję pod wpływem wcześniejszego zauroczenia. Kołyszając biodrami, podchodzę do lustra, wciągam brzuch, wyciągam się jak struna. Znika „prawie” brakujące do metra siedemdziesiąt, powietrze z brzucha przepływa w górę, wypełniając klatkę piersiową, wałeczki na bokach wyraźnie się wchłaniają.

Nie jest źle, mógłbym spokojnie zagrać w teatrze. Dostałbym angaż, przebierałbym się tam, gdzie nowy, dałoby się mnie jeszcze jakoś wcisnąć na czwartego do jego pokoju. Zamyślony wpatruję się w lustro. Jeszcze chwila, a uwierzę we własne szczęście.

11.30. Alfred gryzie mnie w nogę.

11.31. Rana brzydko wygląda. Kombinuję, co z nią zrobić.

11.33. Postanawiam iść na pogotowie.

11.35. Nie pójdę. Alfred gryzie mnie w drugą nogę. Nie mogę stać. Siadam.

11.36. Pomimo głębokich ran, nadal kontroluję ruch wskazówek zegarka. Miauczenie zmienia się we wściekły pomruk tygrysa.

11.37. Zmienia się w ogłuszający ryk.

11.38. Otacza mnie ze wszystkich stron. Drżą ściany, podłoga, żyrandol.

11.39. Udziela mi się drżenie. Wpadam w rezonans.

11.40. Czerwono-pomarańczowy, wściekle głodny potwór w czarne pasy wystrzeliwuje z mrocznego kąta przedpokoju.

11.45. Cześć, jestem Alfred. To mój pierwszy dzień w pracy. Jestem kontrolerem ruchu...

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Jacek Londyn, dodano 06.11.2020 09:42

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.